

# ORĘDOWNIK

## NAUKOWY.

Spis rzeczy 42. Numeru: „Szajna Katarynka. — Kania i Cicha, przez Wł. R. Wojcieckiego. — Zamech Piekarskiego na życie Zygmunta III. — Prelekcye Mickiewicza, Przegląd: Poeta i Świat. — Nowiny literackie.

### Szajna Katarynka.

(Dalszy ciąg.)

#### XVI.

Widać na szkłe namalowany duży kraj, po tym kraju płynię 7 rzek wielkich, a po tych rzekach idą łodzie, szkuty i inne statki. Z daleka widać dwa morza, do których te rzeki wpadają, na morzach widać mnóstwo okrętów.

A to w tej naszej krainie

Siedm największych rzek płynie,

Odra i Wisła jednaka,

Służą obie dla Polaka.

A zaś Niemen, potem Dźwina,

Służą obie dla Litwina.

Dniestr, Boh, Dnieper, wielkie rzeki,

Płyną Rusią w kraj daleki.

Wszystkie siedm wpadły w morze,

A ty po nich płyn nieboże!

Litwinie, Rusinie, Polaku!

W sukmanie, w żupanie, w kubraku.

Bo rzeki na morze jest waga,

Więc niech Bóg Waszmościom pomaga.

ROK 2.

#### XVII.

Pokazuje się rynek krakowski, na środku pogański oltarz zapalony, Święty Wojciech zatyka na oltarzu krzyż, do koła lud zdumiony. Muzyka gra pieśń: •Boga Rodzica Dziewica.

A to jest święt Wojciech!

Patron polskiego narodu,

Co przywiózł wiarę z zachodu;

Co go pogańscy lotrowie

Na Pomorzu zamęczyli;

A nasi polscy królowie,

W Gnieźnie poczciwie złożyli.

Przychodzi on do Krakowa,

Zbawiciela głosić słowa;

W koło niego lud do koła,

A on z krzyżem w ręku, woła:

W tym znaku! w tym znaku!

Zbawienie Polaku!

#### XVIII.

Okazuje się widok Wieliczki, a nad nim w obłoku obraz świętej Kunegundy. Muzyka gra pieśń o świętej Kinde.

To jest krakowska Wieliczka!

A nad nią stoi w obłoku

Z palmą i bertem przy boku,

Kamiennej soli dziedziczka.  
 Jestto święta Kinga owa,  
 Polskiego ludu królowa,  
 Co to z przymierza Bożego  
 Wielicze cudem odkryła  
 Sól dla polskiego narodu,  
 I chleb polski posoliła.  
 Znaj więc ludu! znaj więc ludu!  
 Ze to tobie łaską cudu  
 Bóg przez Kingę wskazał z nieba  
 Sól, do powszedniego chleba!  
 Na lat tysiąc jest zapasów!  
 Jest to twoja ludu bania!  
 I za polskich niegdyś czasów,  
 Była sól dla kmieci tania,  
 Jako mówią starzy.

### XIX.

*Widać wieżę zamku krakowskiego, a na niej dzwon wielki, zygmuntofskim zwany. Muzyka ucicha, a następujące wiersze mówią się wolno i poważnie.*

A to z wieży, by głos Boski,  
 Biję on dzwon Zygmuntofski;  
 Dzwon największy w Polsce całej,  
 Co oddzwaniał wieki chwały.  
 A dziś raz na rok w żalobie,  
 Dzwoni na tym polskim grobie,  
 W dzień Pańskiego zmartwychwstania,  
 Niby słowy zmiłowania.  
 Dzwon! Zygmuncie głośno, głośno!  
 Wolno! wolno! i weselno!  
 I grobowo i żałośno,  
 I poważnie i śmiertelno.  
 Przemów słowy zmiłowania!  
 Uderz cudem zmartwychwstania!  
 Bij tem sercem Zygmuntofskim,  
 Po nad Polską, nad Krakowem!  
 Niech się chmury zakołyszają,  
 Niech umarli w grobach słyszają,  
 I niech wszystko zmartwychwstanie,  
 Na twe głośne zawołanie!  
 O poległych mów do żywych,  
 O cierpiących do szczęśliwych,  
 Do twych wiernych mów o wrogu.  
 Do upadłych mów o Bogu.  
 Dzwon! nam dzwonię, dzwonię stary!  
 Póki głosu w pierśi twojej,  
 Póki w naszym sercu wiary.  
 Póty wrogom pierś dostoi,  
 I cud cudem i lud ludem,  
 I Bóg Bogiem po staremu.

*(Dalszy ciąg Szajnakatarynki będzie później.)*

## Kania i Cicha.

(Z podań ludu.)

Przez

**Wł. K. Wojcieckiego.**

W dzień świąteczny pod rozłożystą lipą,  
 igrało grono dzieciak ze wsi poblizkiej. To rwały kwiatki, to skakały — te na drewnianych koniach harcowały: śmielsze pacholeta darły się na lipę, dojrzawszy wróblego gniazda. — Nie było płaczu — radość jaśniała na czerstwych obliczach — gwar wesoly i śmiech niewinny rozlegał się w okolo. — Dzwonek z poblizkiego kościoła dał się słyszeć, bo tam mszę świętą odprawiał pobożny kapłan — pobożni wieśniacy — rodzice tej miliej dziatwy i starsze roduństwo na kolanach zanosili gorące modły do Boga. —

Z jodlowego lasu, miedzą pomiędzy zbożami wyszła mała dziewczyna w białej szacie. Twarz miała śniadą, jakby jej ojciec Tatar — oczy wylupiaсте, chłodne, urocze: na czarnych włosach wianek z maku polnego odbijał, jak żar na czarnych węglach; warkocz obwijała krwawa chusta. Czarny pręt dzierzała w ręku. Szła zwolna — ale gdzie stąpiła, kwiatki usychały, trawa paliła się, jak tam, kędy jadowita żmija przesliznie. I zaszła najprzód na cmentarz wiejski — stare mogiły odgrzebuje, dobywa kości i chowa; stare trumny rozbija, i z nich także ztrupieszale dobywa kości. Kędy się zbliży, zaraz obwiewa w kolo zimno grobowe, chłód lochu stęchłego i wilgotnego. — Do człowieka nie rzekła słowa, ale sama do siebie mruczy niezrozumiałą mową. Z tamtej strony lasu kmiołek idąc do kościoła, potracił tę dziewczynę, i zaraz mu się w głowie przewróciło — nie doszedł jeszcze kościelnego muru, powiesił się na suchej wierzbie.

Szła dalej z cmentarza przez wieś — ale siolo było puste — bo starsi bili czołem Bogu, a dziatwa igrała na trawniku pod lipą. Zale-

dwie dojrzała to grono niewiniątek, przysporzyła kroku, martwe ślepie wytrzeszczyła bardziej, i rumianą dziewczynkę, co najbliżej stała, dotknęła czarnym prętem. Dziecina wstrzęsła się, zadrzała, i pada nieżywa: rumieniec znikł do razu, bo lice zczerniało jak węgiel. — Zimno grobowe owiało grono dzieci — ustal gwar wesoly i śmiechy — krzyk trwogi, rozległ się w okół. Dziewczyna Cicha bije prętem, a dzieciaczki jak pisklęta zduszone padają — czernieją. Starsze poczęły uciekać — strach dodał im siły, rozpierzchły się na różne strony, daremnie chciała je dognać dziewczyna Cicha.

W zielonej dąbrowie rozproszone dzieci zbiegają się razem, wabiąc się głosem przytłumionym, jak rozproszone stado kuropatw. Tam z bijącym sercem, oddychały zmęczone. Chłopię najstarsze stanęło na nogi, i z za dębu dojrzało, że dziewczyna, co ich tyle zabiła, powróciła na cmentarz.

Słońce było na zachodzie, ojcowie i matki biegają po polach, biegają po łąkach, ogrodach, szukając dzieci. — Młoda matka pierwsza trafia na trawnik pod lipą — i z krzykiem rozpaczny upada na zczerniałe zwłoki pierwszej dziewczynki — była to jej pierworodna córka. Na ten głos straszliwy biegną niewiasty — biegną ojcowie; schodzą się starcy. Matki rozdierającym krzykiem chcą przywrócić do żywota zmarłe dzieci — ojcowie w milczeniu płaczą — a starcy ze łzawym okiem mówią: „Był tu mór dzieci, dziewczyna Cicha.“

Pierwsza matka, co zwołała swoim krzykiem inne, nie powstała już więcej; drugie niewiasty wprowadzają z rozpaczą do chaty mężowie; starcy zabrali trupy dzieci, aby je pochować w świętej ziemi.

W zielonej dąbrowie wiatr ciepły powiał: właśnie słońce już tylko ostatnim promieniem świeciło, a pozostała drużyna strwożonych dzieci, nieśmiała ruszyć się z miejsca. Mglisty obłok napływa nad ich głowy, i z pośrodką wychodzi dziewczica ślicznej urody, z miłym u-

śmiechem. Niektóre dzieci wyciągając do niej rączki, zawołały: „Matko! matko!“ — I biegły do niej, jak do matki. Dziewica tuli je do łona, udziela łakoci; inne patrząc na to z radością, biegną za pierwszemi; a dziewczica sadzi je rzędem w obłok, i gdy wybrała wszystkie — mglisty obłok uniół się w górę, płynie lekko; dzieci gwarzą wesolo, bo je dziewczica jak matka utula i pieści.

Zadzwoniły dzwony we wsi — niosą zmarłą matkę najprzód: niewiasty płaczą na swój stan sierocy, bo żadne we wsi nie zostało dziecię. Mężowie ze spuszczoną głową na piersi, postępują zwolna; starcy niosą zczerniałe zwłoki morem zabitych dzieci. Jęk dzwonu pogrobowego rozległ się w okół: wtedy dziewczyna Cicha niosła pełen fartuch strupieszalych kości: usłyszała ten głos powolny dzwonu, zrozumiała go dobrze, bo jej twarz śniada, martwa, uśmiechem się rozjaśniła, a oczy martwe rozogniły. —

Wtedy razem nadpłynęła mglista chmura, w której dziewczica Kania unosiła pozostałe grono dzieci, wydzierając je na zawsze z łona matki. — Starzec jeden poznał, co się święci w tej chmurze — Krzyknął zatrwożony: „Dzieci, Kania leci,“ i przycisnął zczerniałe zwłoki wnuka do siebie. Próżna trwoga — już żadnej nie było dzieci w wsi — jedne mór zabił, drugie chmura ciemna uniosła na zawsze — a matki sieroty zalewały się łzami, daremnie czekając powrotu zablakanych dzieci.

### **Zamach Piekarskiego na życie Zygmunta III.**

(Z współczesnego rękopisu do panowania Zyg. III.)

Zamach Piekarskiego na życie Zygmunta III. jest czytelnikom z dziejów krajowych dobrze wiadomym, ale mniej znane są jego szczegóły, które naoczny świadek tak opisuje:

Prawdziwe a krótkie opisanie, jak Pan Bóg wielce pobożnego Pana Najjaśniejszego Zygmunta III., króla polskiego, cudownie przy zdrowiu i żywocie zachował, na który się był jeden szalony człowiek usadził, R. P. 1620. d. 15. Listop. — „Michał Piekarski w ruskiem województwie urodzony, gdzie się był ojciec jego z sandomirskiej ziemi przeniósł, z młodych lat był zawsze dziwak, tetryk, melancholik, furyat wielki, któremu, gdy już do średnich lat przychodził, szatańskie przegananie (bo powiadał, że miał jakieś widzenia) tem więcej rozumu umniejszało. Ten przedtem bez wszelkiej przyczyny, jedno z samej furji kucharza szwagra swego Plazy, na zamku w krakowskim zabił; i różnych zaś czasów b kilku ranił, i tak był niecierpliw, że gdy mu kto w czem najmniej przymówił, zaraz się do broni porywał. Co widząc niektórzy powinni jego i przyjaciele, otrzymali nań opiekę, jako na tego, co niemał rozumu i rządzić się nie potrafił; ujęli majątności jego i trzymali, onemu udzielając z nich na przystojne wychowanie. Mało co z ludźmi obcował i mówił, sam w sobie żył i milczeniem a ponurem okiem melancholią się zabawiał, rozmaite w niej (jak to pospolicie w melancholikach bywa) miewając imaginacye i widzenia, jako sam powiadał. A słysząc, że króla francuskiego przedtem zabito, wpadło to mu w myśl, Króla J. M., Pana swego zabić, która w nim trwała od lat 10, podług jego wyznania; i kilka razy na to się już zapuszczał, za dworem J. K. M. jeżdżąc i okazji wykonania swego złego zamysłu upatrując; ale mu Pan Bóg, który strzeże umiłowanych sobie, moc odejmował: bo ile razy jedno, którego się dnia na ten zły uczynek rezolwował, zawsze go jakieś z opatrności Bożej ku pomazaniu swym nieszczęście odtrącało, że albo kogo ranił, albo mu sługa z rzeczami jego zbiegł, którego goniąc, zły zamysł swoje przerywał. Aż dnia 15. Listopada w roku 1620. niebożny człowiek ręce swe przeciw Panu pobożnemu podniósł tym sposobem. Szedł J. K. M.

obyczajem zwykłym do kościoła wielkiego świętego Jana na mszą. Prowadził go po prawej stronie ksiądz Węzyk, biskup przemyski, w którą stronę J. K. M. uderzono, a po lewej stronie (bo później niż ksiądz przemyski przyszedł) ksiądz Andrzej Prochnicki, areybiskup lwowski. I gdy J. K. Mość za drzwi już zaszedłszy, przybliżał się ku ciborium, które sam dla sakramentu najświętszego wystawił, zdrajca ten jednej strony drzwi przywarłszy, aby królewiczowi J. M., który siedł za królem, nieco wstrętu uczynił, skoczył do J. K. M. z tyłu z czekaniem, a chcąc obiema rękoma uderzyć w głowę, Pan Bóg zahamował, że w plecy uderzył, i mało co J. K. M. obraził. Poprawił się drugi raz; w tem się też król za pierwszym razem obejrzał, a on koncem czekana głowy J. K. M. pochybiwszy, środkiem jednak żelaza przy osadzie, a głowicą czekana słozem i w róg głowy nad uchem i w jagodę i w brodę z prawej strony J. K. Mość nieszkodliwie ranił. Od tego jednak razu J. K. M. na ziemię upadł. Cud wielki się stał, że Pan Bóg i ręce i broń lotra tego, inaczej przez anioła swego kierował i obracał, niż był on umyślił i na to się usadził. Chciał i trzeci raz uderzyć, ale go pan marszałek nadworny koronny Łukasz Opaliński, łaską uprzedził, w rękę go i czekana, aż mu wypadł, uderzywszy. Królewic J. M. też gorącą miłością ku J. K. M. ojcu swemu zajęty, do szabli się wprzód przed wszystkimi porwał i lotra tego w głowę ranił. Pod tenże czas właśnie Jaśnie Wielmożny ksiądz Marcin Szyszkowski, biskup krakowski mszą odprawiwszy w kaplicy przy ciborium, przeciw której tuż J. K. Mość raniono, wychodzić chciał z kaplicy i J. K. M. prowadzić, a służy jego przed nim szli i nie daleko stanęli u ciborium, gdzie król J. M. miał, i ci najbliżsi byli J. K. M. i najlepiej wszystko widzieli, co się z J. K. M. działo i do broni się zaraz rzucili, bo wielki tumult i rozruch powstał po kościele, pełnym ludzi, i rozumieli, że zdrada jakaś i zasadzka na pana. Senatoro-

wie i ci wszyscy, co przed Panem szli, wraskiem i zgielkiem wielkim ludzkim poruszeni, usłyszawszy głos po kościele, jednych: Tatarzy, Tatarzy; drugich: Król J. M. zabit! pomieszali się w tumulcie i ciżbie wielkiej i żaden do Pana obrócić się nie mógł. Pan Marszałek też z Królewiczem J. M. i z Panem Wojewodą kijowskim Tomaszem Zamojskim, kolo tego lotra zabawili się, sami jedno słudzy ks. biskupa krakowskiego z bronią dobytą przy Królu J. Mei stali, a Pan Jan Zebrzydowski, miecznik koronny, także z bronią dobytą tuż przy królu był, który głosem zawołał: nie bywało to nigdy w narodzie naszym. Skoczył potem do króla Jan Kaliński, z Kaliny, województwa krakowskiego żołnierz dawny, który był kilka lat w Moskwie w więzieniu, a natenczas sługa ks. biskupa krakowskiego; porwał Króla J. Moś w pas z ziemi i na nogach postawił. Drugi sługa księdza biskupa krakowskiego, Dobrogost Rogawski, brat rodzony Pułkowników, żołnierz dawny, tenże za rękę Króla J. M. ujął i podnosić pomógł, szablę dobytą nad głową trzymając, z Kalińskim go potem pod pachy obadwa ujeli. Do których rzekł Król J. M. Co się dzieje? co to jest? Odpowiedzieli: zdrada jakaś, ale nie bój się W. K. M., a pójdź W. K. M. do księdza biskupa krakowskiego. Rzekł do nich K. J. M.: będę o was pamiętał. Z którym, pod rękę go trzymając ci dwaj, a trzeci Łącki, sługa, pokojowy ks. biskupa krakowskiego, który z tyłu J. K. Moś trzymał i płaszcz na nim, gdy kilka kroków postąpili, ksiądz biskup krakowski z panem Janem Podoskim, kasztelanem racięskim, który był natenczas przy księdzu biskupie, skoczył do króla i głosem zawołał: Ach niestetyż! co Cię to Panie za dobroć i pobożność twoję od złych ludzi potkało? czegoś się to doczekał? Bo był tego mniemania, że więcej tych zdrajców było, co niezbożne ręce na Pana podnieśli. Do kaplice wszedłszy, całował rany i głowę jego, płakał, krew z Pana ocierał, cieszył jako dobry biskup i wierny a

życzliwy poddany J. K. M. Do którego rzekł J. K. M., niefrasujcie się, księżo biskupie, nie będzie mi, dali Pan Bóg nic. Jakoż też i biskup obaczywszy lepiej, że niemasz razu śmiertelnego, płacz swój moderował. Aże J. K. M. był przy dobrej pamięci i wiedział, kto go z ziemi podnosił, kto prowadził, i co się działo, powiadając, jako go ten zdrajca wprzód uderzył, i jako za wtórym razem upadł, żadnego złego affektu przeciw temu zoczyńcy nie pokazywał, a wdzięcznie to nawiedzenie od Pana Boga, jako Pan światobliwy, przyjmował, właśnie, jakoby nic złego nań nie padło. Przyszedł potem królewicz J. M. do kaplicy, przyszedł i Pan Marszałek nadworny, powiadając, że ten lotr żyw i w rękę jest, do którego znowu Pan Marszałek szedł, aby go dobrze opatrzone. A owdzie przecie po kościele grzmot wielki i tumult. Przyszedł i Pan Wojewoda kijowski i Pan Radziwiłł, hetman litewski i Pan Dönhoff, Starosta bolesławski, radzili, żeby J. K. M. wyszedł, żeby się rany nie zaziębiły. Ale ksiądz biskup powiedział: szkoda wychodzić, by nie była zdrajców jaka zasadzka; niech się tumult uspokoi, a więcej się do J. K. M. zejdzie. Ale nie przybyli drudzy do J. K. M., jedno Pan Danilowicz, Wojewoda ruski; sami słudzy księdza biskupa krakowskiego około kraty u kaplicy stali i J. K. M. pilnowali. A gdy ksiądz biskup rozumiał, że niemasz już niebezpieczeństwa, rzekł do J. K. M.: Możesz już W. K. M. wyjść, i prowadził go z Królewiczem J. M. Panem Wojewodą kijowskim, ruskim, Marszałkiem nadwornym i Dönhoffem, starostą bolesławskim, a słudzy księdza biskupa krakowskiego przed J. K. M. szli; aż potem u kaplicy górnej, u drzwi kościelnych, niektórzy dworzanie J. K. M. zabiegli. Przez kościół, gdy J. K. M. szedł, ludzie, których nieco było w kościele, wołali: Niech będzie Panu Bogu wieczna cześć i chwała; Król J. M. zdrów! Jakoż rzesko szedł do zamku i samego pokoju Królowej JMei, która się w swym niezmiernym żalu i smutku pocieszyła, gdy J. K. M.

czerstwego i mało co obrażonego obaczyła. Toż potem jako Pani wysokiej mądrości i pobożności, wiernie i wielce małżonka swego J. K. M. miłująca, Kalińskiemu, który najprzód z ziemi J. K. M. podniósł, darowała łańcuch z kilkuset czerwonych złotych z medalem złotym, na którym po jednej stronie twarz królewska z napisem, a na drugiej stronie symbolum: „Crescit geminatis gloria curis.“ Darowała do tego i tysiąc złotych; a Król J. M. darował wieś Bienkowiec, w województwie sandomirskim, która jest po tym złoźnicy skonfiskowana. Obiecał i tym, co przy nim z bronią dobytą stanęli, onego prowadzili, za okazją łaskę swą pańską, jako Pan wielkiej mądrości, pokazać. Ten zaś złoźnica za występki swój szatański słuszne karanie, z dekretu senatorskiego odniósł: kleszczami targany, ręce mu ucięto, potem przypalono, nakoniec czterema końmi na ćwierci roz-targniony i sztuki potem spalono. Tak się rzecz ta w Polsce przedtem nigdy niesłychana właśnie działa.

### Prelekcye Mickiewicza.

(Ciąg dalszy.)

Hoziusz pierwszy sprowadza do Polski Jezuitów, Stefan zaś Batory pomaga ich rozkrzewieniu. Tak więc jeden człowiek odważył się stawić zapórę moralnemu niebezpieczeństwu, które groziło Polsce. — Człowiek prywatny często w sporze z królem, odpychany od możnych, prześladowany na sejmach. Z królem szło jeszcze jako tako, Hoziusz przebacząc wiele Zygmunтови, zyskiwał kiedy niekiedy jego poparcie — ale z magnatami wiódł on bój zacięty — magnaci bowiem dopuszczali się nie-rasz słów, które w owym nawet wieku zuchwałości raziły. I tak np. książę Radziwiłł długo się wahał, jaką ma przy-jąć wiarę: luterską, żydowską, czy mahometańską, i publicznie głosił, że możeby właściwiej było nową skompo-nować wiarę. Projekta te nie w jednej snuły się głowie. — W sejmach, zamiast publicznej sprawy, wiódł się rozprawy o dogmata.

Hoziusz, który umiał do Polaków przemawiać, ode-zwał się raz w sejmie złożonym z pruskiej i mazowiec-kiej szlachty, jak następuje:

„O! narodzie dobrodusznych ludzi!... — Skoro się już wam tak koniecznie zachciało szaleć — to już i szalejcie, ale przynajmniej bądźcie zawsze Polakami. Chce-cie koniecznie nowej wiary — szukacie nowego Boga? a to macie tego hultaja Grzegorza Mazura... zróbcie go sobie bogiem, a będziecie mieli swój własny mazowiecki kościółek. Będzie to zapewne głupstwo, ale swoje wła-sne głupstwo. Chce się wam wygodniejszej wiary, ra-dzibyście dobrać sobie przestronne, dogodne do nogi cbu-wie, a więc liźcie w chodaki waszego Mazura Grzesia. POCO macie sprowadzać pantofle z Genewy i Wurtem-bergu.“

Tym to gminnym, często nawet rubasznym stylem, Hoziusz wojował nowatorów, a odwołując się do dawniej-szych uchwał sejmowych, przeciw cudzoziemcom, wymógł narzeszcie wywołanie ich z kraju.

Magnaci i szlachta zaśnając się swemi przywilejami, mówili — mieszczanie i chłopcy mogą być zmuszeni do uległości biskupom, ale my szlachta, którym służy prawo wybierania króla, możemy równie obierać sobie i papieża; ani świecki, ani kościelny despotyzm dosięgać nas nie może.

Wśród tych kłopotów, królowi brakowało wojska i grosza ku obronie granic, nie było czem i o czem pro-wadzić wojnę w Liwonii. Król mógł jeszcze dowolnie rozrządzać skarbem litewskim, lecz sejm zawistnem pa-trząc okiem na ten ostateczny zasób rządowej siły, nale-gał o zastosowanie do Litwy koronnego prawa. Kilku wszakże magnatów wspierało króla prywatnemi zasilkami, dając ku publicznej posłudze domowe swe wojska. Tak np. ks. Radziwiłł z 4000 królewskiej straży i garstką do-mowego kilku rodzin żołnierza, wstrzymał najazd Moskwy, a poraziwszy na głowę 300-tysięczne wojska w. ks. Moskwy, zabrawszy mu wszystkie tabory, drugą armią wpędził nazad w głąb Rosyji.

Król polski przewidywał niebezpieczeństwo, jakie sto-sunki cara z europejskimi monarchami zrodzić miały, przekładał więc mocarstwowi, że wznosząca się na pół-nocy potęga, różna zupełnie od reszty chrześcijaństwa, iż utrzymując się na różnych wcale od chrześcijańskich zasadach, różne też miała potrzeby, i zdawała się być przeznaczoną do jakiej straszliwej misyji w przyszłości, a przeto, że po-łączonymi siłami chrześcijaństwa należało wcześniej zagro-dzić dalszemu jej rozwijaniu się.

W jednej z korespondencyi Zygmunta do Elżbiety, czytamy dosłownie następujące wyrazy:

„Powtarzamy WKMości, że od Moskwy, nieprzyjacieli wszelkiej wolności, codziennie przez stosunki swe handlo-we z cywilizowanemi narody, zagrażający, wzrasta w siłę. Wiadome są WKM. jego okrucieństwa im ordy. Jedyna nasza nadzieja polega w naszej wyższości, w naukach i sztukach.

Lecz nierozwaga sąsiednich monarchów niebawem postawi go na równej z nami stopie.

Nie można się bardzo dziwić, że królowa angielska i księżęta niemieccy nie umieli z przestroż tych korzystać, skoro Polacy bliżsi, naoczni niemal świadkowie krwawych mordów Iwana, patrzący na ryczałtowe wytopienie ludności miast liwońskich, zamiast wspierać Zygmunta, najusilniej mu przeszkadzali. Duch politycznych i religijnych stronnictw wyłącznie opanował równie jak gabinety monarchów, tak i sejmy polskie. Niewdzięczne to pasowanie się tak znużyło było Zygmunta, iż ten wpadłszy w czarną niemal melancholię, przepowiadał kiedyś Polakom nieszczęście, jakie im od północy groziło. — Mówią nawet, że gdy go pytano, kto po nim tron polski posiedzie, on ręką na północ wskazywał, tak jakby przepowiadał następną los Polsce.

Hoziusz równie jak król niespokojnie poglądał na przyszłość, i radził Zygmunтови, aby dobywając ostatka sił, ugruntuwał w Polsce z zachodu narodową dynastję. — Lecz bezdzielny król odpowiadał, że już się nieczuł na siłach zapewnienia przyszłości, którego ster już za życia jego wyrwał mu się z ręki.

## PRZEGLĄD.

### Poeta i Świat,

drugie wydanie, nakładem Zawadzkiego, Wilno 1841.

## POETA.

(Dokończenie.)

Jeśli go zaś kto z nienacka zagadnie o nim samym, wówczas to go widzieć trzeba oddającego sobie sprawiedliwość. — Ja! cóż to ja! Panie Dobrodzieju! nikt nie zaprzeczy mi talentu! Ale tak jestem zawsze zatrudniony, tyle mam interesów na karku, które mi ani chwili wolnej nie zostawiają! — Nie godzi się tak jednak talentu zagrzebywać! — Bardzo W Pan Dobrod. łaskaw! Ale cóż począć, kiedy w tym wieku poezja nie daje chleba, a przedewszystkiem człowiek potrzebuje sobie zapewnić sustentacyą (sic). To mówiąc poeta, zaciera i zaciera czuprynę w poetycznym nieładzie nad wyłysiałem czołem sterczącą i kręci się i podnosi głowę i wdycha. Zreklbyś, że jest istotnie jednym z tych Tytanów, co się drą do nieba, walcząc z mizernymi szczegółami prozaicznego żywota. Gdzie tam! Poeta wiejski jest w świecie naj-

prozaicniejszą istotą, tak mu dobrze w tem błocie naszej ziemi, jak pewnemu stworzeniu, które błoto lubi. A też muszę was przestrzedz, iżbyście nigdy nie wierzyli tym, którzy prawią o swoim zapale do poezji, o swoim pędzie do pisania, a jednak nie piszą. Komukolwiek dał Bóg zdatność, połączył ją niechybnie z wolą, dającą talentowi cel i znaczenie. Ci, którym się zdaje, żeby pisali, gdyby nie to, gdyby nie owo, będą zawsze mieli to lub owo na przeszkodzie i nigdy nie zdołają wzięść się do pióra; bo do niego prawdziwego powołania nie mają. Talent wielki, wielki geniusz rozwine się jeszcze silniej przeszkodami, oporem, i owo biczowanie Wirgiliusza, na które wierszem, placząc, odpowiadał, jest wiele znaczącym symbolem. Nie wiercie więc tym, co to się zaklinają, że byliby wielkimi, gdyby tylko chcieli, pisarzami. Gdy im woli braknie, już to nie są geniusze; bez woli niema czwku. Wszyscy więc owi wiecy ludzie, co nie, albo bardzo mało, jakby tylko na próbkę, wydali z siebie, powinni być cenieni z tego, co uczynili, nie z tego, co by uczynić byli mogli, gdyby nie... Jeśli kto czego nie uczynił, snadź nie mógł. Nie ma w świecie kłopotów, nie ma okoliczności, któreby przeważały natchnienie i zniszczyć je mogły, gdy one dojdzie do stopnia, w którym porodzić się musi. Wielki poeta kawalkiem skła pisze w więzieniu na murze swej izby, wielki malarz węglem rysuje po ścianie, jeśli niema pędla. Ten, kto się opuszcza i wdycha nad wolą, jestto słaby i wół tylko dojrzały talent niewielkich sił. Im z większą walką spłodzone jest dzieło, tem więcej w sobie objawia siły i życia.

Lecz wróćmy do naszych wiejskich poetów. Cóż to są za ludzie ostatecznie? Niedowarzeni półmędrkowie, którzy dla tego tylko zowią się półmędrkami, że najłatwiej być niby poetą, bo na to nie potrzeba ani examinu zdawać, ani pewnej jakiej wprawy nawet posiadać. Dość jest związać końcami dwa wiersze, jak szewcy za ucha związują parę bótów, wywieszając przed sklep, żeby poczciwi wieśniacy nazwali poetą. Dla tego też nie ma podobno żadnej klasy pisarzy liczniejszej od poetów, a mimo tego ze stósów drukowanych poezji, o jakże mało prawdziwój! Szukać jej potrzeba między wierszami, wierszykami i wierszydłami, jak kropli rosy w morzu. Poezja per excellentiam na wsi, zgadnijcie co się nazywa? oto nie więcej — końcówka. W niej wedle naszych poczciwych panów obywateli cała tajemnica poezji, cały jej duch — alfa et omega sztuki. Na mocy tego o jakże wielu dobierających tylko końcówki, zowie się poetami. Mówiłem już, jak ich sąsiedzi i powiernicy cenią, jak się ich lękają; a że podobno mało kto z nich zastanawiał się nad literaturą, łatwo sobie obojętne to uwielbienie wytłomaczyć. Lecz niestety, cóż to za męczarnia dla kogoś oswojonego z poezją, z literaturą, wpaść między

owych wiejskich wielkich ludzi. Czegoś podobnego doznawać musi cywilizowany człowiek, gdy wpadnie między dzikich. Zaledwie wieść się rozeszła, że taki a taki poeta literat przybył, już ci się wyrocznia powiatu, ów — nie wydany geniusz wybiera spenetrować przybyłego, już się czesze i myje, stroi, wypręża, żeby go naprzód swoją dystyngwowaną postacią zachwycić, potem swoim geniuszem podbić i do wozu zwycięzkiego zaprządz, jak innych łagodnych współobywateli. O zaiste ciekawe to spotkanie, ale okropna dla nieszczęśliwego przybyльца martyfikacya! Nie jestem w stanie opisać tego. Lecz mądrej głowie, dość na słowie — pojmiecie! Kończy się zwykle na tem, że nieszczęsny przybyły rozpaczając, żeby go kiedy zrozumiano, opuszcza usz, rezygnuje się i dozwala się męczyć wiejskiemu poecie, który całym swoim ciężarem spada na niego. Zaiste lepiej jest ująć za ostatniego prostaka i nieuka w oczach takich ludzi, niż psuć sobie gębę, usiłując ich oświecić. Byłoby ostatniem dzieciństwem porwać się na dzieło, któregoby wszystkie rozumy świata nie dokonały; bo któż potrafi przekonać człowieka, przywykłego przez całe życie do pochwał, zatwardziałego w swoim głupstwie i wysoko ceniącego siebie. Lepiej zmilczeć i dozwolić tryumfu wiejskiemu poecie, który z nim pójdzie, trąbiąc na wszystkie strony swoje zwycięstwo. *(I nieco niżej.)*

Z różnych punktów zapatrują się ludzie na przedmioty; różnie je też widzą i jeden drugiemu za złe mieć nie powinien, że nie tak widzi jak on. Smiesznie jest bardzo, gdy kto wziąwszy się pod boki, na całe gardło wrzeszczy: Chódź tu i daj mi się przekonać, bo ja tylko widzę rzeczy dobrze.

Powiedzmy to raz sobie, a raz na zawsze. W literaturze także potrzebna jest nieodbitcie tolerancya, co się tyczy sposobu widzenia rzeczy, równie, jak co do sposobu pojmowania form i stosowania się do przedmiotów. Nie taka tolerancya, któraby zabiła krytykę i zobojętniła wszystkich, pozwalając głupcom bredzić; ale rozumna, w pewnych zawarta granicach, taka właśnie, jaka nazwisko tolerancyi oznacza. Nie bardziej płytkiego umysłu i jednostronnego rzeczy pojęcia nie objawia, nad jakoweś niepomiarowane, wyłączne, stronnicze przekonanie o doskonałości nieograniczonej jednej tylko idei, które jej adeptom nie dozwala nawet pod pewnemi względami oddać sprawiedliwość inaczej widzącym; nie dozwala wnikać w naturę rzeczy. Prawdziwy filozof i prawdziwy krytyk sądzi każdą rzecz z jej właściwego stanowiska i to jest dopiero sprawiedliwy sąd. Dobre to, choć nie nasze przysłowie: *• kto wszystko pojął, ten wszystko przebaczył. •* I jeśli od całkiem inaczej zapatrujących się na świat i literaturę, nie wymagamy spółuczucia; to przynajmniej żądamy od

nich wyrozumienia, które dowodzi prawdziwie uniwersalnego pojęcia. To pewna, że najnieumiejętniejsi ludzie są zwykle ślepi.

## NOWINY LITERACKIE.

*(Ciąg dalszy o Pieśniach Łużyckich.)* Pierwszy Zbiór pieśni tego przez sąsiadów ścieśnionego, a nawet od pobratymców zapomnianego ludu, przy końcu zeszłego wieku, uskutecznił saski porucznik Bünau, który z ust pod swoją kommandą stojących Serbskich żołnierzy niektóre pieśni spisał. Zbiór ten udzielony został przez ówczesnego Rektora w Guben Boettigera Panu Anton autorowi pisma: *•Ersten Linien eines Versuches ueber der alten Slaven Ursprung, Sitten, Gebraeuche, Meinungen und Kenntnisse, Leipzig 1783. 8vo.*, który je odpisał, opuściwszy jednak przyłączone melode, i mały dodał słowniczek. Obydwa te zbiory znajdują się w Bibliotece Towarzystwa Łużyckiego. Poczem pastor Bronisz poprawiwszy ich mylny text, dołączył słowne tłumaczenie i nowymi pieśniami i melodyami z swej okolicy pomnożył. Nakoniec wyznaczyło wzmiankowane Towarzystwo naukowe Łużyckie nagrodę 50 Talarów, która w roku 1837. podwojona została za najlepszy zbiór takowych pieśni. Owocem tak zacheconych usiłowań jest dzieło, o którym jest mowa, dokonane trudem i niezmordowaną usilnością P. Smolara, który chodząc z koszturem od zagrody do zagrody, zebrał w Wyższej Łuzacyi około 300, w Niższej 150 pieśni, i takowe tym sposobem w dwóch oddziałach wydaje. Osoby, od których te pieśni zasłyszane były, są wymienione, a przynajmniej okolica zawsze wyszczególniona, gdzie są śpiewane. Potrzebne uwagi i historyczne objaśnienia dodane będą na końcu, gdzie wydawca rozwiędzie się obszerniej nad obyczajami Serbów, poda nawet obrazy ich życia, wizerunki ubiorów, kiermaszów, wesół, chrztów, pogrzebów, tańców. Prócz tego w dodatku zbiór ten zawierać będzie podania ludu, legendy i przysłowia. W obecnej chwili powiat ten, gdzie mówią jeszcze po serbsku, coraz bardziej się ścieśnia, (w r. 1327. mówiono w Lipsku po serbsku) niemogąc podolać materyjalnej i umysłowej przewadze Niemców; liczba dusz Serbskich wynosi 245,000, z których około 50,000 pod rządem saskim, z tych jest około 10,000 katolików, reszta Protestanci, augsburskiego wyznania. Język wyższych Łużanów podobny jest do czeskiego, niższych, do polskiego i tak różny, że się wzajemnie z trudnością porozumieć mogą. Starożytnie słowiańskie formy najlepiej się u nich przechowały; dyalekt niższy Łużycki bardziej jest germanizacji zepsuty, niż wyższy Łużycki. *(Dok. w następn. Nrze.)*